

ja za nim z daleka, ale czort nałat, droga jest jak stół i widział mnie. Cóż robić, zawrócił ja jak nie pyszny, coby podejrzenia nie wzbudzić. A teraz on wrócił całkiem spocony i zakurzony, a zły, że nie daj Boh, jeszcze w drogę wleść. Nu, już ja wam pan powiem, co tu krwawa jakaś polska intryga się knuje.

Słowa te nie były pocieszające, ale na szczęście Stanisław był mocno zajęty przygotowaniami do dnia jutrzejszego. W dużej sali ustawiono na środku stół, nakryto go sukniem zielonem, a pani Schmidt ciągle zaambarasowana przybiegała do Stanisława, zakładała pulchne rączki na wydatnym brzuszku i dopytywała się, co przygotować na jutrzejszy obiad.

To narzekała, że już szparagów niema, że kalafiory są zbyt młode, że posłała po raki, ale przyniosiono zbyt małe, że może z nich zrobić zupę, a jeżeli nie, to czy podać je nadziewane, czy też po polsku wprost ugotowane w wodzie i czy kurczęta upiec na rożnie, czy też z nadzianiem i t. p. Stanisław zrywał się, łapał się za głowę i wołał:

— A dajże mi pani pokój! rób sobie, jak chcesz!

I pani Schmidt odchodziła z miną zrozpaczoną, by za kwadrans znów powrócić i nową jakąś kwestyę kulinarną przedstawić.

Przybiegła też ciotka Filomena z miną groźną i poczęła wyrzuty czynić z gniewnem uniesieniem Stanisławowi, że jej męża zamęcza i naraża go na chorobę.

— Ja twego męża, ciotko, narażam na chorobę? a to jakim sposobem?

— Takim, że nagabujesz go, by ci coś powiedział, czego on powiedzieć ci nie może i dla uniknięcia twoich niedyskretnych pytań zmuszony jest nie pokazywać się, a on potrzebuje świeżego powietrza i ruchu. Oświadczam ci mój bratanku, że nie postępujesz po ludzku.

— Ależ ciotko...

— Tak, nie po ludzku i ja nie pozwolę na to, byś mego męża męczył; nie pozwolę! Jutro zaraz z tego niegościnnego domu wyjeżdżamy i żądam, żeby na godzinę trzecią po południu konie były gotowe.

To rzekłszy, obrzuciła oszołomionego Stanisława gniewnem wejrzeniem swych biednych spłowiałych, wypłakanych oczów i odeszła majestatycznie, o ile nędzna, wychudzona postać, przybrana w czarną, wytartą wełnianą i niemodną sukienkę, mogła być majestatyczną. Stanisław patrzył na nią zdumiony, nie mogąc sobie zdać sprawy, czego ta kobieta, zmaltretowana przez swego męża gburą, chce od niego. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że to wystąpienie zwykłe cichej, pokornej, milczącej ciotki Filomeny, było z wiedzą i z polecenia jej męża, któremu widać bardzo dużo zależało na tem, by go Stanisław więcej nie pytał o wczorajszą rozmowę z Jasińskim, oraz by konie do nagłej z Gór ucieczki były gotowe.

Ubolewając mocno nad niewolniczą uległością ciotki Filomeny, która okazywała poprzednio Stanisławowi wiele serdecznej przychylności, dziwił się żeluziej woli Millera, która umiała ugnać i złamać tę nieszczęśliwą kobietę, jednocześnie przyszły dziedzic Gór dochodził do przekonania, że sytuacja jest bardzo zła i że on absolutnie nie wie, co robić. Z Wiśniewskim nie było co o tem gadać, bo on myślał tylko o Aniela, po za którą nic więcej nie widział i świat mógł się zapisać, byle jego ubóstwana ocalała. Od rana chodzili razem po parku, kryli się w gęstwinie drzew, prowadząc nieskończoną rozmowę i sobą wyłączeni byli zajęci. Wprawdzie przyszła Stanisławowi myśl, żeby powiedzieć Antkowi, iż jeżeli napad bandycki na Góry istotnie przyjdzie do skutku, to Anielka może paść jego ofiarą.

— Ha! — powiedział sobie — może to poskutkuje i otrzeźwi zaciętrzewionego koguta.

Poszedł tedy szukać Antka, bo w swej nie zdecydowanej, miękkiej, wątpliwościami pesymistycznej filozofii przesłanniczej natury, potrzebował jakiejś pomocy, poparcia, przykładu energicznego czynu. Znalazł zakochaną parę siedzącą na ławce, nad sadzawką w głębi parku, przytuloną do siebie, zajętą

żywą rozmową i obrywającą listki z róży, które rzucali na wodę i patrzyli, jak je fala unosi. Z trudnością udało się Stanisławowi oderwać Antka od Anielki i gdy nareszcie został się z nim sam, po przedstawieniu mu położenia, oraz kroku, jaki zrobił do Millera i rezultatu tego postąpienia, zakończył:

— Mówię ci to dla tego, że już dziś nie ulega wątpliwości, że Jasiński zamierza istotnie napadu dokonać.

— Dla mnie jednakże ulega to wątpliwości.

— Nie, bo skoro Miller gada, że wszystko jest teraz dobrze i można spać spokojnie, to stąd wniosek prosty, iż przedtem nie było dobrze i nie było można spać spokojnie.

— Przypuśćmy, że ze słów Millera taki wniosek wyprowadzić można, to jednakże skoro on zapewnia, że spać można teraz spokojnie, nie widzę powodu do niepokoju.

— Jednakże on sam ucieka, a to jest ważną bardzo oznaką i dowodem, że jego interwencja nie wiele poskutkowała. Mój Antku! ja cię przecież



— Psiakrew! Ubiję hyla!

niepokoić nie myślę, ale zważ, że jeżeli napad przyjdzie do skutku, to w pierwszym rzędzie padnie jego ofiarą panna Anielka. Zważ, że Jasińskiemu podoba ona się bardzo, że mamy przykłady, iż w takich napadach panowie bandyci nie kierują się żadnymi względami, któż mi zaręczy, że taki Jasiński nie dopuści się jakiego ohydneho gwałtu na bezbronnej dziewczynie...

Zaświeciły się dziko oczy Antka, podniósł się, skłonił się, zawinął ją z potężnym rozmachem w powietrzu i syknął:

— Psiakrew! ubiję hyla!

— Nie ubijesz... zresztą tu nie o to idzie, ale o zapobieżenie nieszczęściu. Trzeba coś przedsięwziąć, coś postanowić.

— Masz rację. Trzeba coś postanowić.

Począł chodzić nerwowo tam i z powrotem, machać siękątką pałką, wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Masz przecie broń?

— Są cztery dubeltówki.

— Bravo! nabijemy je siekańcami, psy spusćmy. Okienice zamkniemy, drzwi zatarasujemy, i niech przychodzą. Zjedzą sto dyabłów, nim nam dadzą radę. A zresztą, zostaw to mnie... namyślę się... wynajdę jaki piekielny środek i powiem ci potem.

Oglądał się i szukał oczami Anielki, która wolno posuwała się ku domowi, zrywając kwiaty po drodze i widocznie pragnął skończyć rozmowę, by pójść za dziewczyną. Nie było z nim co gadać i Stanisław coraz bardziej zniechęcony i zrozpaczony odeszedł.

Nie przyniosła pociechy i rozmowa ze stryjakiem Józefem. Gdy mu Stanisław opowiedział swoje odwołanie się do Millera o pomoc i radę, stryjasek uśmiechnął się słodko po swojemu i rzekł:

— A wiesz serdeczko, żeś popelniwszy kapitalne głupstwo. Ale mów dalej, cóż ci Miller powiedział?

Gdy Stanisław przytoczył odpowiedź Millera, jego zagadkowe milczenie, zamiar natychmiastowego wyjazdu z Gór po otwarciu testamentu, niespodziewane wystąpienie ciotki Filomeny, wreszcie słowa Jasińskiego po wyjściu z pokoju Millera, stryjasek Józef uśmiechnął się, zręcznie schwycił muchę, która mu uparcie siadała na pałkowatym, burakowym nosie i uśmiechając się rzekł:

— A wiesz serce, co to wszystko znaczy?

— Sądzę, że Miller nie dowierza Jasińskiemu, a raczej jego towarzyszący i na wszelki wypadek chce wynieść się jaknajprędzej z Gór.

— Tak myślisz?

— Tak mi się zdaje, ale mogę się mylić.

— Mylisz się braciashku i bardzo się mylisz.

— Jakież więc jest zdanie stryjaska?

— Takie, serce ty moje, że się dwaj złodzieje zwachali.

— Nie rozumiem.

— Widzisz... ja ci to powiem...

Miller, który jest zbój nad zbój, jakiego świat i Korona polska nie widziała, porozumiał się z Jasińskim i powiedział mu, ty napadaj, pieniądze zabieraj, ale pod warunkiem, że mnie z nich oddasz połowę. Inaczej to ja ciebie wydam. Ja sobie wcześniej wyjechał, a ty napadaj. Rozumiesz teraz serdeczko?

— To niemożliwe! to byłby szczyt łajdactwa, do takiej przewrotności ludzie nie są zdolni.

— Ba! braciashku, ty jeszcze byś młodym i nie znającym ludzi. Ale ja ich znający. Ja żywszy sześćdziesiąt lat na świecie, wiem, co człowiek wirtuoz. Człowiek, serce ty moje, to dzikie zwierzę, ba! gorszy od dzikiego zwierza, bo zwierzę swego rodzaju nie napadający, a człowiek! *Homo homini lupus*, pamiętasz ze szkolnego *tiocinium*?

Uśmiechnął się dobrotliwie, gładził swoją rozwichrzoną brodę, łapał muchy i wyrzucał je za otwarte okno, a one niewdzięczne za okazane im miłosierdzie, znowu wracały i zawzięcie atakowały jego nos potężny.

— Ot widzisz — mówił dalej — ty to dobrze ogadł, że Miller mimo rozmowy z Jasińskim nie dowierza mu, a raczej jego kamratom. Dyabeł nie śpi. Jak napadną, nie będą zważający na umowę, ale co na placu, to nieprzyjacieli. Lepiej więc wcześniej

umykać a pieniądze zawsze będą, bo Jasiński, bojąc się denuncjacji swego wujaszka, umowę spełni. Oto jak się sprawa ma. Jasiński też, mówiąc, że zapłaci burżujowi, miał nie kogo innego, tylko ciebie, braciashku na myśli, boś mu popsuł tryki, bo zamiast zagarnąć dla siebie cały łup, będzie się musiał nim podzielić z Millerem.

— Przecież i tak musiałby się dzielić nim ze swymi towarzyszami.

— Tak to niby wygląda, ale ja pewny jestem, że durniów tych wystrychnąłby na dół. A Miller nie może, bo to pachnie szubienicą. Oho! hyla! to ostatni ten Miller! Szwab przekłety. Pojedzie sobie, a resztę niech dyabeł porwie. Ot prawdę powiedziawszy, to i mnie należałoby jechać. Po co ja mam kłaść zdrową głowę litewską pod ewangelie. Mnie o pieniądze nie idzie, ale ja potrzebujący ich dla Litwy. Ot, pokociło się!

— Jakto stryjasku i tybys mnie opuścił?

(Dalszy ciąg nastąpi).